Nr. 40. We Lwowie dnia 1. października 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



W turniach.

Z cyklu »Miłość«.

II.

Graj, moja duszo, graj,
Pierwotne hymny nuć
W takt pieśni runicznych, co płyną
Z tych groźnych skał!
Ponad uroczy maj,
Wodzący kwiatów młódź
Wonną doliną,
Milszy ten biały śnieg,
Co się na szczyty zwiał
Lawiną,
I leżąc wieków wiek,
Przepaści straszny grób
Przywalił płytą lodową.

* *
*

Graj, moja duszo, graj,
Pierwotne hymny nuć
W takt pieśni, co w puszczy dziewiczej
Do naszych wije się stóp,
Nad naszą wznosi się głową,
Jak ciężka kraje łódź
Powietrza tysiąc staj
I pośród urwisk łona,
Śród niedostępnej dziczy,
Tłumiąc powoli głos,
Głuchnie, zamilka i kona.

* *
*

Złocisty splotła włos,
Przykryła rąbkiem koszuli
Niewinnej piersi blask,
I śmiejąc się do zorzy
I do błękitnych nieb,
I do tych śnieżnych szczytów,
Którymi wita nas dal,
Swe ramię do mego przytuli,
Swą wargę do mojej przyłoży
I, jak królowa hal,
Jak można pani gór,
Zawładnie swą mocą nademną.
Miłość, dawczyni łask,
Zrodzona śród błękitów,
A na tej ziemi step,
Na tę powierzchnię ciemną
W słonecznej szacie zesłana,
Z niebiańskich, słodkich cór
Najpowiewniejsza, najsłodsza,
Jak wiew górskiego rana,
Wiewem mnie swoim owiała.
Ach! i od bluszczów wiotsza
Pnie się ma dusza,
Płonąca cała,
Około pragnień drzewa,
Co swym wierzchołkiem ku błękitom sięga.
Przejmuje słodki ją dreszcz,
Wszystkie w niej struny porusza
Jakaś ukryta potęga,
Jakaś nieznana dłoń,
I dusza ma,
Jak lutnia gra,
Radośne hymny śpiewa.

*
* *

A wieszczów wieszcz
W tej chwili skroń
Rozpromienioną ukaże,
I pieśnię blasków zanuci.
Po rosie, po rosie, po rosie
Mkną brylantowe dźwięki,

W fiolet zleją się w jarze,
A opalami na turniach zawisną.
Czarny je bór odrzuci,
One się w perły rozprysną
I na zielonym spadzie,
Klejnotów wielkie pokłosie,
Ogniami błysną...
W tłumnym nieładzie
Iskrzyste pęki,
Światłości smugi,
Złotawe płachty promieni
Łączą się razem z mgłami
i z niemi razem
Pną się do góry,
Gdzie głaz nad głazem
Sterczy ponury,
Lub, jak pas długi,
Hen! ponad nami
Po śliskich ścianach wiją się i w cieni
Giną pomiędzy złomami.

* * *

O haj! o haj!!..
W porannych blasków kraj,
Ponad grzbietami skał,
Zwartych w zygzaków wał,
W kamiennych zamków bastjony,
W tumów wspaniałe portale,
Wystrzelił dziki, szalony,
Namiętny krzyk...
To w błyskawiczny mig
Wspiął się w młodzieńczym szale
Na krzesanicy skraj,
Na opalową grań,
Zwinny juhasik młody
Po siwy kwiat szarotki.
Z przepaści patrzy nań,
W ciemne owita mgły,
Cierpliwa śmierć.

* * *

O haj! o haj!
W zawody
Ze śmiercią pójdzie on —
W to jemu graj!
Niech pod nim ściana drży,
Niech się zawali perć,
Niech granitowy trzon
Wstrząśnie się cały jak wiotki
Młodego świerku pień,
Gdy dmuchnie śnieżny wiew:
On się przylepi do skały,
Niby ta nikła cień,
Którą kosówki krzew,
Z szczelinki małej
Gdzieś tam u góry
Wysuwający swe pajęcze nóżki,
Rzuca na grani;
On na niej —
Na stromej turni krzyżami zawiśnie
I z piersi wyrzuci w lazury,
W porannych blasków kraj:
O haj! o haj!
Co jemu śmierć? co lęk?
Co zimne głazów poduszki?
Co jemu chrustu pęk,
Które przechodzień mu ciśnie
Na tę samotną mogiłę?
Zuchwałą żądzy siłę
W stęsknionym czuje łonie,
Krew ogniem gra!
Stanie na szczytu koronie,
Niby królewski ptak,
Swej lubej hasło da,
Ten swój rozgłośny znak
W porannych blasków kraj
Na sto wyrzuci staj:
O haj! o haj!

* * *

Krzyształowemi dróżki
Mknie, leci krzyk gorący,
Wirchy ma za podnóżki,
Górą płynący.
Od razu gdzieś upadnie,
O ściany się rozbije,
O granitowy złom,
O jakichś zboczów łuk,
Z grzmotem, jak grom,
Albo jak działa huk,
To znowu gdzieś się na dnie
Czarnego żlebu skryje,
Zamierający,
Niby myśliwski róg,
W dalekim jarze
Głuchnący.
To znów do góry tryśnie,
Jak mężnej surmy głos,
I spłynie znów na szyję
Jakiejś podartej turni,
I, ze skałami w rozgwarze,
Skąpawszy się w opalach,
Którymi się iskrzy ściana,
Gdy na nią słońce błyśnie
W swym żarze,
Spłynie na miękki wrzos
I po zielonych halach,
Śród pereł ros,
Jak jaka struga rozlana
Cicho się wije,
Jak połączone kapele
W szerokiem echu się ściele.
To znowu górniej, górniej
W blaski lecący,
Jak harf tysiącznych brzęk,
Jak dźwięk,
Jak jęk,
W atomy się rozpryśnie
O jakiś szczyt.
Tak na promiennych falach,
Na mżących światłach rana,
Co wnikną w każdą cieśń,

Zmienił się w organ brzmiący,
W miłości dźwięczną pieśń,
Szalonej żądzy zgrzyt
I swój ostatni ton,
Rozkołysany,
Rozgrany,
Rozwiany,
Jak srebrny dzwon,
Gdzieś tam w oddali słyszany,
Gubi śród naszych łon
I w żyłach gra.
Miłość się w oczach lśni,
Miłość na ustach drga,
Na wargach rozpalonych,
Które się łączą znów.
— »Słoneczny wzniósłbym ci
Ponad skałami tron,
W rozpromienionych
Wiecznego szczęścia dziedzinach.
Życie i skon
Bez skargi słów
Do twoich złożę stóp«.
— »Na łez nizinach,
Gdzie dola cięży głazem,
Gdzie trosk ponurych schron
I ciągłych prób,
I na tych górnych wyżynach,
Do których dusza się rwie,
Ze sobą ujrzysz mnie!
Przez piekła graźń, przez raj
Poszłabym z tobą razem,
Czem dla mnie grób,
Jeśli-ć otworzy słońca kraj?...«
O haj! o haj!

Jan Kasprowicz.

Z ZACHODNICH KRESÓW.

(Ciąg dalszy.)

II.

Germanizacja urzędowa. — Szkoły niemieckie.

Polakom, którzy zakosztowali kolejno życia pod pruskim i pod rosyjskim rządem, nieustannie nasuwa się na myśl pytanie: gdzie jest gorzej? Roztrząsają je w nieskończonych rozmowach; porównanie trybu postępowania naszych opiekunów dostarcza niewyczerpanego tematu do dysput, nie prowadząc nigdy do stanowczych wniosków. Jest to zresztą, naszem zdaniem, sprawa czysto osobista, zależna od tego, kto z jakim systemem łatwiej zżyć się może. Dużą rolę naturalnie gra tutaj przyzwyczajenie:

Pytał kiedyś podróżny djabła czy pińczuka:
»Dla czego siedzisz w błocie?« — »Siedzę, bom przywyknął?«

Faktem jest, że po obu stronach kordonu gnębią nas zawzięcie, że system, nawet plan postępowania jest tu i tam ten sam niemal, jedynie tylko środki inaczej bywają stosowane, a to już znowu wynika z natury, charakteru i ustroju politycznego państw zaborczych. Rusyfikacja »przywiślańskiego kraju« jest tylko przetłómaczoną na rosyjskie germanizacją »wschodnich prowincji«. Tłomaczenie nawet jest dość dokładnem, a że się wśród niego wkradły pewne czysto ruskie zwroty z tatarskiem zacięciem, toć to jest przecie właściwością każdego dobrego tłómaczenia, że dąży do zatarcia swej cudzoziemskiej barwy. W każdym razie trudno zaprzeczyć, że inicjatorami byli tutaj Niemcy, a germanizacja pierwowzorem, który rusyfikacja ściśle odtwarza.

Polityka, zainaugurowana przez Karola Wgo, który, jak wiadomo, podbitych Saksonów dziesiątkami tysięcy w głąb frankońskich krajów przenosił, utrzymuje się tradycyjnie w niemieckim rządzie. Postęp cywilizacji kładzie jej pewną tamę, a przynajmniej inne nadaje jej formy. Za jej wskazówkami jednak postępując, rząd usiłuje uczynić Polakom pobyt we własnym kraju jak najtrudniejszym, a urzędnikom polskim jedynie w niemieckich okolicach posady ofiarowuje, natomiast wszystkie urzędy we wschodnich prowincjach swoimi »kulturtraegerami« obsadza.

Naturalnie, iż wobec tego Polacy unikają ile możności wszystkich tych zawodów, które ich zależnymi od rządu czynią. Nietylko bowiem narażają ich one na niebezpieczeństwo przymusowej emigracji, ale wystawiają przytem na drobiazgowe prześladowania, których ich wrażliwa i ambitna natura znieść nie może. Dla Niemca zresztą urzędnik, któryby nie był duszą i ciałem »interesowi państwowemu« oddany, jest istotą anormalną i wstręt budzącą. Pewien prawnik Polak, praktykujący jako referendarjusz przy sądzie, opowiadał nam, że ile razy przyszedł ktoś z interesantów, nie mówiących po niemiecku, uciekano się do jego pośrednictwa, zawsze jednak

z taką uwagą: »Panie B. podobno pan także po polsku mówi«. Wiedziano dobrze, iż jest Polakiem, otwarcie jednak nie przyznawano mu tego nigdy.

Narzucanie języka państwowego wszędzie, gdzie tylko to jest możliwem, odbywa się systematycznie. Pewnemu notarjuszowi zagrożono odebraniem notarjatu dla tego, że ogłoszenie o zmianie mieszkania nie po niemiecku wyłącznie, lecz także i po polsku wydrukować kazał. Nadmienić muszę, że notarjusz ów drogą procesu upomniał się o swoje prawa — i proces wygrał, co znowu po drugiej stronie kordonu byłoby rzeczą niemożliwą; właśnie w takich faktach zaznacza się ważna pomiędzy rosyjskim a niemieckim systemem różnica.

Nasyłając nam urzędników Niemców, nie znających miejscowego języka, stwarza rząd i im samym i mieszkańcom częstokroć nieprzełamane trudności. Wypisywanie adresów polskich, jest dla tych panów łamigłówką niesłychanie trudną, a wymawianie polskich nazwisk gimnastyką, której żaden niemiecki język nie zniesie. Wywołuje to tysiączne zamięszania, pomyłki, nieporozumienia a niekiedy i śmieszne *qui pro quo*. Polskie telegramy, zwłaszcza zaś telefoniczne wiadomości dochodzą na miejsce tak przekręcone, że ich w żaden sposób odczytać ani zrozumieć niepodobna. Wprawdzie w niektórych biurach ułatwiają sobie zadanie, nie przyjmując depesz, w polskim pisanych języku, jest to jednak postępowanie nieprawne, któremu ludność miejscowa energicznie się opiera. Przy sądach, gdzie niemożność porozumienia się ze stronami do ważnych prowadzićby mogła pomyłek, utrzymuje rząd tłómaczów, — ci jednak zwykle liczą się do klas nieinteligentnych, słabo obu językami władają, a ich przekłady z niemieckiego stanowią niesłychanie ciekawe okazy urzędowej polszczyzny. Tak np. w pewnym sądzie świadczono, że u rzeźnika jakiegoś »zabito wieprza niesprawiedliwie« *(nicht rechtgemäss)*. Naturalnie wszelkie ztąd wynikające trudności wiele więcej dotykają ludność, niż urzędników. Ci ostatni zresztą, idąc ręka w rękę z rządem, usiłują je usuwać, choć w części zastępując nazwy polskie miast i wsi poznańskich, niemieckiemi. Przeglądając księgi adresowe, możnaby istotnie wyobrażać sobie, iż znajdujemy się w czysto niemieckim kraju, Brodnica nazywa się tam Strassburg, Gniewkowo — Argenau, Chwałkowo — Weisenburg, i tylko miejscowa ludność pamięta istotne, tradycyjne nazwy. To samo dzieje się z napisami na rogach ulic; polskie tylko w mowie potocznej krążą — urzędownie istnieją jedynie niemieckie; a niema choć cokolwiek znaczniejszego miasteczka, w którem by władze miejskie nie ochrzciły jednej ulicy Wilhelmowską, drugiej Frydrykowską, i nie wystawiły posągu Germanji na najznaczniejszym placu.

Najwięcej korcą naszych opiekunów rodziny polskie, niemieckiego pochodzenia, niemieckie nazwiska noszące. Rodziny te niekiedy należą do bardzo patrjotycznych i zasłużonych, a jest to istotnie gorzką ironją dla Niemców, że w kraju, na którego wynarodowienie tyle łożono wysiłku, tak wyraźne dowody polonizacji napotykać muszą. Niektóre z tych rodzin, od wieków w kraju naszym zamieszkałe, zdawna już ortografję swego nazwiska zmieniły, czego zresztą opiekunowie nasi uwzględniać nie raczą. Ponieważ jednak pod niemieckim rządem o każdą krzywdę upomnieć się wolno, i to z pomyślnym nieraz skutkiem, o ile się ma literę prawa za sobą i dosyć wytrwałości, aby się trudnościami nie zrażać, więc zdarzały się fakta, że rodziny tego rodzaju na drodze prawnej wywalczyły polską pisownię dla swych nazwisk. Do takich np. należy rodzina Szumanów, której jeden antenat już w 16. wieku urząd burmistrza gdańskiego sprawował i przez »sz« się pisał. Przyznać trzeba, że energja i wytrwałość w dochodzeniu praw swoich imponują nawet Niemcom, a dziś już żaden z nich listu do Szumana przez »Sch« adresować się nie ośmieli. Nie każdy jednak ma środki po temu, aby długim procesem swobód swoich dochodzić, to też w niższych warstwach polskiego społeczeństwa prześladowanie Polaków z niemieckiemi nazwiskami przykro odczuć się daje. Nastręcza do tego sposobność w szkółkach ludowych podział dzieci na narodowości na lekcjach religji. Wiadomo, że od lat kilku uzyskano w parlamencie prawo, aby dzieciom polskim po polsku religji udzielano; cóż, kiedy inspektorowie i nauczyciele dzieciom z niemieckiemi nazwiskami koniecznie, mimo ich oporu, na niemiecki wykład uczęszczać każą. Naturalnie wszystkie takie wypadki skrzętnie przez pisma polskie notowane bywają, a prasa usiłuje jaknajwiększy rozgłos im nadać, niemniej jednak dążność germanizatorska naszych opiekunów nigdy nie zasypia, i nieustannie wymaga ze strony Polaków czujności.

C. d. n.

Druid Skamieniały.*)

Siwe, ciche chmury płyną nad starą gallijską równinę. Na niej głazy wielkie, dziwaczne, zna szczątki jakiejś jednej, olbrzymiej budowli, znać, jak przed wiekami zaryły się w ziemię, burzą przeznaczeń roztrącone na części, tak tkwią tam dotąd, posępne, tajemnicze, milczące... Ścieżyna wązka

*) Pisałam pod wrażeniem obrazu L. Wyczółkowskiego.

wije się między nimi; wydeptały ją stopy pastuszków. Dzieci! Ach, one bez trwogi stąpają po ruinach przeszłości... Głazy, głazy pochmurne, mówcie wy do mnie! Czem byłyście niegdyś, niegdyś przed wiekami?

A głazy kamienną wymową rysów swych poszarpanych odparły: »Myśmy były ołtarzem bogów.

Ołtarzem byłyście? Po zrębach waszych, gdzie mech teraz rośnie, krew ofiar ściekała? A gdzie lud, co wam czołem bił, gdzie lud, co drżał przed wami tajemnicy świętej dreszczem wstrząsany? Dla czego opuścił was?

Jęk gniewu przeleciał w powietrzu i straszno było przez chwilę, bo zdawało się, jakby wszystkie druidyczne głazy powstały i burzą szły na mnie. Ale nie — one leżą cicho, a chmury płyną nad nimi i nad szarą gallijską równiną.

Kamieniu ty jeden największy i najcichszy z pomiędzy nich, czemże ty byłeś niegdyś? Człowieka masz głowę i tors i ramię prawe jakby cięciem miecza odrąbane. Lewe opierasz na lutni, a lutnia kamienna jako ty, i struny ma spękane. Mchy zielone ubrały ci czoło, i pierś, i brodę długą kapłańską. Powaga śmierci i powaga życia patrzą ci z rysów. Starcze kamienny, kto ty?! Nad tobą chmury sine, przed tobą Galji niezmierzone równiny...

Głazy, głazy pochmurne, mówcie wy do mnie...

* * *

Dawno, przed wiekami, szumiały w Galji ciemne bory dębowe, a po borach stały ołtarze bogów i kapłani w białych szatach, w wieńcach zielonych na siwych włosach czynili na nich ofiary. Starców w białych szatach zwali Gallowie druidami; a byli oni bogom najbliżsi, bo tajemnicę życia i śmierci, tajemnicę przyszłości i pieśni posiedli. Czcił ich lud i jak dziecko szczęśliwy w cieniu lasów zielonych żył pod opieką bogów i kapłanów swoich. Aż do ziemi Gallów przyszli wojownicy z południa, hartowni, silni; rozum zimny patrzył im z czoła, rozwaga kierowała ich czynami. Na obrzędy druidów spoglądali z uśmiechem szyderskim, a pieśni słuchać nie chcieli. Kraj Gallów podbili cały i własność zeń uczynili swoją, a lud napadnięty, choć walczył z początku, jak lew, pogodził się w końcu z przybyszami obcymi i nawoływań kapłanów nie słuchał. I wyludniły się święte gaje; już nie biegły do nich tłumy, by, jak dawniej, składać ofiary, błagać o wróżby. Lud się od bogów swoich dawnych odwrócił, a w rozum Rzymian uwierzył.

* * *

Las gallijski śpiewa pieśń posępną, zgrozy pełną, noc ją pochwytuje i niesie na kraj daleki. Takiej nocy coś strasznego stać się musi. Białe postaci kapłanów, jak duchy, migają między drzewami. Oni śpieszą do świątyni, bo tam ich najstarszy z druidów wezwał na tajną naradę. W podziemiu, pod ścianami, stoi kilkanaście kamieni, na nich zwykle siadają kapłani, gdy tutaj radzić przychodzą. Dziś miejsca ich wszystkie zajęte, to noc tajemnic. Na kamieniach siedzą postaci nieruchome, rycerskie, bo miecze mają u boku, ale ciała ich jakieś przejrzyste, niby ze mgły... Kapłani skupili się u proga; to noc tajemnic. Na głazach siedzą duchy starych wodzów Galji... Z państwa śmierci przywołał je tu druid-arcykapłan. Potężny on. Wicher, co szumi po wierzchołkach dębów leśnych — słucha go. Słuchają go burze i pioruny, słucha jutrzenka ranna i zorza wieczorna, na jego zaklęcie duchy zstępują na ziemię. I dziś przyszły, bo on chce nad Galją dawne słońce rozświecić, bo on chce bogom dawną cześć przywrócić.

Rozpoczęły się już tajemnicze obrzędy. Już ojcowie, zapytani, potwierdzająco skinęli głowami i miecze ich stare szczękiem się głuchym ozwały. Oblicze arcykapłana jaśnieje radością. Ten dźwięk zamiarom jego wróży zwycięstwo. Teraz bogów o przepowiednię zapytać trzeba. Dziewicy ustami przemówią bogowie. Na środku podziemia, o podstawę ołtarza oparta, siedzi wróżbitka. Ona córka arcykapłana, ojciec jej rozkazuje żywiołom, ona od bogów wieszczbę i pieśń otrzymała w darze. Ona bogów ojczystych ulubiona lutnistka. Twarz dziewicy tak biała, że nie bielszą od niej wydaje się śnieżna jej szata. Włosy złote, rozrzucone na kamiennej posadzce podziemia się ścielą. Na kolanach jej pęk zielonej jemioły, w ręku lutnia trzystrunna. Ona bogów ojczystych ulubiona lutnistka. Kapłani obstąpili ją dokoła, mówią nad nią zaklęć czarodziejskie wyrazy. U świętego ognia zapaloną jemiołą okadzają ją dokoła. Jeszcze chwila, a porwie ją szał święty i dziewica wróżyć zacznie. Ale dlaczegoż oczy jej przymknięte, usta wykrzywione boleśnie? Na twarzach kapłanów maluje się niepokój i zdumienie. Nie tak zazwyczaj wygląda wieszczka w chwili, gdy zstępuje na nią moc natchnienia. Dłonie dziewicy drżą, po jej bladej twarzy ból się wije, jęk, czy skarga cicha płynie z jej ust, dźwięków rozróżnić niepodobna. Sam arcykapłan przystąpił do niej i objął ją płomieniem swych źrenic.

— Mów! — rozkazał.

Na dźwięk tego głosu zatrzęsła się cała i jęk straszny, rozdzierający, wyrwał się nagle z piersi dziewiczej:

— Ojcze mój, ojcze mój, kiedy przeklniesz lud twój i córkę twoją, wtedy koniec będzie naszym ołtarzom! — I jak martwa, uderzyła skronią o ziemię, a lutnia strun złotych jękiem zapłakała nad nią.

I nic, nic więcej?! Kapłanko bogów, czy tego oczekiwał po tobie lud twój?

Odsunęli się od niej druidzi strwożeni, tak straszne, tak niezrozumiałe wydały im się słowa

wróżbitki. W tej chwili pierwszy, szary promień świtu szczeliną jakąś wpadł do podziemia i mgliste postaci umarłych rozwiały się od niego. Tylko w powietrzu pozostały po nich jakieś łkania i westchnienia. Znać, z ciężką troską dusze ojców porzucały ziemię ojczystą.

* * *

W ciszy lasów arcykapłan zbiera wiernych, co dotąd jeszcze starych nie odstąpili bogów. Arcykapłan zbroi lud. Panowaniu rzymskiemu ma być położony kres. Już on wróżb nie pyta o radę, ani córki spojrzeniem nie bada. Ona cicha, od nocy owej śmiertelnie blada, niby duch snuje się po krużgankach świątyni. Ni lutnię ujmie kiedy w rękę, ni źrenicę jej płomień natchnienia rozpali. A codzień bledsza, codzień niklejsza. W cieniu świątyni, pod okiem bogów, więdnie smutny kwiat, więdnie bogów ojczystych kapłanka. Aż dnia jednego, ku wiośnie, gdy słońce biegło do zachodu, padła dziewica przed ołtarzem kamiennym, i długo, długo, niby martwa, leżała; potem zdjęła ze złotych włosów wieniec kapłański, razem z lutnią złożyła go na ołtarzu i poszła, poszła żeby już nigdy nie wrócić. Widział ją druid, jak cicha, sama, w śnieżnej szacie sunęła przez las i widział, jak potem w objęciach rzymskiego rycerza biała kapłanka bogów zarumieniła się raz pierwszy. Rzymianin wziął ją na konia i uniósł daleko. Widział to, i milczący jak zawsze, powrócił do świątyni, lutnię osieroconą ujął w stare ręce, a lutnia rozpłakała mu się żalem bezmiernym i łkała, jak córka.

* * *

Walka szaleje. Na błoniu pustem, szerokiem, dokoła kamiennego ołtarza zebrały się ostatki wiernych, którzy za bogi dawne życie oddać pragną. Liściem dębowym uwieńczeni druidzi biegają po polu i podniecają Gallów do bitwy. Arcykapłan stoi u ołtarza i lutnię stroi. Ta lutnia tyle razy prowadziła lud jego do boju. Ale dziś... przekleństwo! Dziś tonów bojowych wydobyć z niej nie sposób. Lutnia tylko jedną pieśń chce grać, tę samą, którą w rękach starca płakała po zniknięciu kapłanki, pani swojej młodej... A walka się chwieje. Już na ołtarz nacierają Rzymianie, już i pieśni nie będzie, bo arcykapłanowi żołdak rzymski rękę prawą odrąbał, w lewej została mu lutnia, w oczach płomień ponury.

— Jeszcze raz do walki, dzieci moje! — woła, a pod naciskiem rozjuszonych na nowo Gallów cofać się zaczynają Rzymianie. Ale nie: jeszcze jeden hufiec nadciąga im z pomocą; na jego czele mąż młody, zbrojny... Poznał go starzec: to kochanek kapłanki galijskiej! Świeże kohorty mkną za nim. On pędzi, rozbija, roztrąca. Gromady Gallów pierzchają przed nim jak ptaków gromady. W końcu broń pokładły na ziemi, i przebaczenia, i łaski, i życia proszą u wroga. Rzymianin radośnie skinął na swoich: Założyć im łańcuchy!

I na chwilę stało się cicho na błoniu, druid u ołtarza stał.. W tem zatrząsł się całem ciałem i na tę gromadę nieszczęsną, pobitą, hańby proszącą, przekleństwo rzucił straszliwe, a potem jeszcze słów parę cichszym, konającym głosem wymówił. Nim skończył jeszcze, jakby na stwierdzenie słów jego, grom się w chmurach odezwał, iskra, blask, piorun wężem się zakręcił i w ołtarz ugodził. Rozprysły się głazy na części, i rozleciały z hukiem, Rzymian i Gallów gniotąc odłamami. Powiadają, rzecz straszna, że tej samej chwili rozsypały się w gruzy wszystkie druidyczne ołtarze.

W godzinę później cisza już była dokoła. Zwycięzcy uprowadzili jeńców, trupy tylko zostały i kamienie, a między nimi, z ramieniem odciętem, z drugiem, ostatnim wysiłkiem lutnię ukochaną dzierżącem, legł druid i był sam... Oparty o głaz ołtarza, patrzył... Przed nim ciągnęły się Galji niezmierzone równiny, ciągnęła się kraju jego błoń szeroka, a on... konał. I skupił się w sobie starzec, i jako niegdyś rozkazywał wichrom, tak teraz powiedział sobie: nie umrę! I patrzył... A przed nim ciągnęła się Galji błoń szeroka. Wszystkich uczuć, wszystkich bólów siłę na wolę jedną wszechpotężną zamienił i stał się cud... Tężały mu członki, twardniało mu łono, ciało przechodziło w głaz... Druid skamieniał.

* * *

Odtąd wieki przeleciały nad nim, a on zawsze tak samo jak niegdyś zapatrzony na Galji niezmierzone równiny. Powiadają, że czasem, czasem, raz na sto lat może, z pod pochmurnych brwi kamiennego starca błyśnie promień zaklętej źrenicy. Wtedy widać, że druid żyje. A jeśli na przechodnia z obcych, dalekich stron promień ten padnie, to on w obce, dalekie strony poniesie z sobą wspomnienie tego strasznego wzroku, którym przez chwilę jedną patrzył nań druid głaz. I będzie mu wzrok ten siłą i będzie ducha potęgą, co wodza duchów zeń uczyni.

Helena Ceysinger.

JUBILEUSZ BACONA.

Świat uczony w Anglji obchodzi w roku b. sześćset-letni jubileusz Rogera Bacona, którego genjusz przed sześciu wiekami zabłysnął nad ziemią i roztoczył światło nietylko na owe czasy, ale na zawsze. Ongi musiał on cierpieć prześladowania od współczesnych za

nauki swoje, musiał czternaście lat spędzić w więzieniu, bo ludziom jego doby zdawało się, iż ten wielki człowiek, głosząc te nauki, popełnia występki godne kary. Kiedy w r. 1292 wydostał się Bacon wreszcie z poza krat więziennych, zapragnął naukę swoją, doświadczenie, obserwację życia i wyników wiedzy zamknąć w jednym ogólnym zarysie.

Jestto jego testament naukowy, a takim duchem prawie proroczym natchniony, że dziś, gdy wiele przepowiedni tu zawartych się spełniło, podziw w nas budzi ten wieszczy umysł, który przeniknął, odgadł późniejsze daleko rezultaty wynalazczej twórczości ludzkiej.

Tytuł tej książki, która zawiera testament Bacona: »O cudach natury i sztuki«. Rękopis pozostawał, już po wynalezieniu druku, jeszcze blisko całe stulecie niewydany; egzemplarz, znajdujący się w paryzkiej »Bibliotèque nationale« nosi datę 1618 r. Bacon opowiada tu o wszystkich cudach, jakie w naturze i objawach twórczych ducha istnieją. Szuka zaś rozwiązania niepewności i przyczyn tych cudów w naturalnych powodach. Zgłębiwszy dokładnie całą cywilizację, mógł Bacon przytaczać mnóstwo dowodów na potwierdzenie swych postulatów. Dla tego wielkiego umysłu nie istniała magja: to przyczyny zupełnie naturalne powodowały objawy, którym tłum przypisywał pierwiastki nadzmysłowe. Zasłużył przez bystrość swej myśli ten filozof prawdziwy na nazwę »doktora cudownego«, jaką mu współcześni nadali.

Roger Bacon wyraża między innemi przekonanie, iż zostanie wynaleziony statek do pływania, w którym nie będzie ani wioseł, ani żagli i będzie płynął własną, wewnętrzną siłą. Tak to przepowiedział Bacon wynalazek parowca przed Jouffroy'em i Fullton'em; potem nadmienia, że wozy nie będą ciągnione przez konie a prędzej się toczyć będą, niż zaprzężone w najszybsze bieguny. Przepowiada dzwon podwodny dla nurków, mosty wiszące — wreszcie balony.

Taki to umysł wieszczy istotnie przed sześciuset laty istniał na ziemi. Genjusza tego jubileusz budzi dla potęgi ducha ludzkiego uwielbienie prawdziwe i nadzieję szczepi, że usiłowania i praca ludzkości nie giną daremnie.

Przegląd pism.

»Ateneum«. Sierpień i Wrzesień 1894.

Zeszyt sierpniowy »Ateneum« rozpoczyna praca Dr. Anny Wyczółkowskiej pod tyt. »Szkic historyczno-krytyczny o głównych kierunkach i metodach psychologicznych« Autorka rozróżnia cztery wybitne epoki w rozwoju psychologji: 1) epokę etyczno-metafizyczną, której najwyższy rozwój przypada na starożytnych Greków, 2) epokę racjonalizmu, wyrosłą na podstawie sceptycznej Kartezjusza, 3) epokę krytyczną, reprezentowaną przez Kanta, i 4) epokę empiryczną. O trzech pierwszych, jako więcej znanych, mówi pokrótce, zatrzymuje się natomiast najdłużej nad epoką najnowszą. W tej ostatniej wyróżniają się dwa kierunki: mechaniczno-matematyczny (Herbart i Avenarius) i eksperymentalny, na czele którego stoją Fechner i Wundt.

Artykuł p. t. »Wykopaliska Schliemanna i znaczenie ich dla nauki starożytności« zawiera ciekawe szczegóły z życia znakomitego badacza starożytności greckich i opis wykopalisk Troi, Tyryntu, Mycen, Orschmenu. Wykopaliska te odnoszą się prawdopodobnie do czasów wojny trojańskiej i przedstawiają kulturę homerowych Achajów, zagrzebaną przez lat tysiące w kilku leżących na sobie warstwach, a świadczącą o potędze przedhistorycznej tych ludów morzowładnych.

»Pierwiastki cywilizacji nad dolną Dźwiną« opracował Gustaw Manteufel.

»Stosunki rolnicze w Rosji« — Witold Załęski.

Józef Kenig w artykule: »Co piszą o przyszłych bitwach« podaje streszczenie broszury Keima o nauce prowadzenia bitew — o taktyce, która wymaga zmian, odpowiednich postępom techniki.

»Zjazdy historyczne w Niemczech«. Na pierwszym zjeździe (w Monachium 1893 r.) wniesiono pod obrady kwestję wykładu historji, o ile wykład ten zmierzać powinien ku przysposobieniu młodzieży do życia publicznego. Podniosły się głosy, domagające się zużytkowania tego wykładu w celach państwowych ku podniesieniu »zmysłu politycznego« i wskazania środków zwalczenia socjalnej demokracji. Zwyciężyła atoli zasada bezstronności i przedmiotowości w historji. Oto, jak brzmią uchwały zjazdu: 1) Nauka historji służy przysposobieniu jednostki do życia publicznego najlepiej tem samem, że daje podstawę do ukształcenia historycznego młodzieży. 2) Należy w wykładzie wystrzegać się wszelkiego zamiaru wyrobienia w młodzieży pewnych określonych poglądów na sprawy i stronnictwa polityczne, kościelne albo społeczne. 3) Niezbędny warunek dla prawidłowego biegu nauki historji, stanowi zupełna niezależność nauczyciela od jakiegokolwiek nacisku władz państwowych lub kościelnych.

»Ostatni utwór Jerzego Brandesa«. Mowa tu o nowem dziele jego: »Ludzie i dzieła«. Są to szkice, obejmujące wybitne momenty literatury północnej, niemieckiej, francuskiej i rosyjskiej.

M. Wł. Kozłowski podaje kilka ciekawych uwag o nieznanem dziele filozoficznem Witeliona: »O porządku istnień«.

Z beletrystyki znajdujemy w zeszycie omawianym powiastkę Zygm. Kurpiejewskiego i obrazek Zofji Seidler p. t. »Promień słońca«.

Rozbiory i sprawozdania, nowości naukowe i literackie dopełniają całości.

W zeszycie wrześniowym zasługuje na uwagę studjum psycho-fizjologiczne Dr. med. Jana Cumfta »O wzroku, jego rozwoju i znaczeniu dla człowieka«. Podaje nam ono wiązankę ciekawych faktów, zebranych drogą obserwacji i eksperymentu, a rzucających jasne światło na kwestję zależności naszych idei od wrażeń zmysłowych, na sposób po-

wstawania w naszym umyśle pojęć o przestrzeni, odległości i kształtach. — Zaznaczyć tu jednak musimy, iż usterki językowe w powyższym artykule, moskwicyzmy i wadliwy szyk wyrazów, zbyt są rażące, aby można było o nich przemilczeć.

P. M. Stefanowska w starannie opracowanym artykule p. t. »Życie i śmierć w przyrodzie« zestawia najnowsze a niezmiernie ciekawe badania nad materją nieorganiczną z jednej a materją żyjącą z drugiej strony, wykazując, że i ciała mineralne posiadają pewne zaczątkowe objawy życia, wielce zbliżone do takichże objawów u najniższych organizmów żyjących, jak wrażliwość, t. j. zdolność reagowania na daną podnietę, ruch (cząsteczkowy) jako objaw tej wrażliwości, wymianę cząstek materji ze swem otoczeniem i t. p., a nawet w niektórych wypadkach coś podobnego do wpływu zarodka. Przekształcenie materji martwej w żywą, jakie się odbywa w organizmach żyjących, polega na odmiennem ugrupowaniu atomów między pierwiastkami, wskutek czego życie, utajone w każdym atomie materji mineralnej, zaczyna bić wyraźniejszem tętnem i staje się widocznem. W kwestji śmiertelności organizmów nowe badania (Maupas'a) nad wymoczkami zachwiały teorję Weismana o nieśmiertelności pierwotniaków. Przyczynę śmierci badają Delboeuf i Sabatier. Ten ostatni widzi ją w zróżniczkowaniu się protoplazmy. Tylko komórki rodzajne nie podległy temu zróżniczkowaniu się; zachowały one pierwotną budowę i posiadają zdolność do ciągłego odnawiania się i do zachowania młodości nieograniczonej.

L. Krzywicki w artykule »Horda pierwotna« rozbiera przyczyny odrębności obu płci w społeczeństwach pierwotnych.

Artykuł p. t. »Z beletrystyki zachodu« zaznacza, że palmę pierwszeństwa w powieściopisarstwie angielskiem pod względem poczytności, z małym tylko wyjątkiem, posiadają obecnie kobiety. Powieści ich, przeważnie tendencyjne, głoszą odrodzenie społeczeństwa za pośrednictwem kobiet.

»Z dziejów sztuki« — notatka o dziele Henryka Lemonnier: »*L'art français au temps de Richelieu et de Mazarin*«.

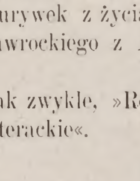
Z działu ekonomicznego w zeszycie wrześniowym znajdujemy artykuł p. t. »Stowarzyszenia kredytu włościańskiego w Rosji«. Rzecz ta dotyczy ciekawej i sumiennej pracy N. O. Osipowa, noszącej tytuł: »Obraz działalności stowarzyszeń oszczędnościowo-pożyczkowych i projekt kredytu wiejskiego«. Porusza ona dwie ważne kwestje chwili bieżącej: kwestję kredytu dla drobnego rolnictwa i kwestję stowarzyszeń rolniczych w ogóle.

»Upadek cen i jego przyczyny« przez W. Domańskiego.

Z beletrystyki — powieść z życia mazurów nadbałtyckich p. t. »Na morskiej wydmie« przez Stefana z Opatówka i »Przestrzeń«, urywek z życia p. Znicza. Z poezji — piękny przekład Wł. Nawrockiego z Alfreda de Musset p. t. »Noc majowa«.

Kończą zeszyt, jak zwykle, »Rozbiory i sprawozdania«, »Nowości naukowe i literackie«.

J. C.



Z RUCHU LITERACKIEGO.

Arcydzieła Szekspira w przekładzie Paszkowskiego, Koźmiana i Kasprowicza. Lwów 1894. Zeszyt 2—4. po 15 ct.

Gawalewicz Marjan i Stachiewicz Piotr. Królowa Niebios, Legendy o Matce Boskiej. Warszawa 1894. Zesz. I. 1·40.

Głąbiński Dr. Stanisław. Wykład nauki skarbowej. Lwów 1894. Str. 525. 5.20.

Górski Piotr. Samorząd gminny. Tom I. Kraków 1894 Str. 371. 3.50.

Hahn Wiktor. Przyczynek do genezy »Marji Stuart« J. Słowackiego. — Odbitka z »Ateneum« Warszawa 1894. Str. 37. —.40.

— Studjum nad genezą »Lilli Wenedy« tragedji J. Słowackiego. Lwów 1894. Str. 55. —,50.

Jordana Dra Park miejski w Krakowie. — 1894. Str. 105. —.75.

Księga pamiątkowa 1863—1864. W trzydziestą rocznicę. Lwów 1894. Str. 68. 1.—

Mścisław. Spis dzieł i artykułów Agatona Gillera. Przemyśl 1894. Str. 27. —.20.

Mierzejewski Lew. Kornelowi Ujejskiemu 1823—1893. Rysunki Stachiewicza. Kraków 1894. Str. 18. 2.—.

Obogi Oswald. Przewodnik ilustrowany po austrjackich kolejach państwowych; Przemyśl — Lwów — Stryj — Stanisławów — Bełzec — Sokal — z 25 rycinami, 2 kartami geogr. i 1 planem. Wiedeń 1894. Str. 126. —.30.

Pepłowski-Schnür Sta. Teatr polski w Galicji wschodniej. Lwów 1894 Str. 46. —.40.

Sawicki Stella Dr. Jan. Dyplomacja europejska w sprawie polskiej podczas wypadków od roku 1861 do roku 1864. Lwów 1894. Str. 56. —.60.

Smolka Stanisław. Akademja umiejętności w Krakowie 1873—1893. Objaśnienia tablic graficznych, wystawionych na wystawie krajowej we Lwowie a przedstawiających działalność i rozwój Akademji od czasu jej założenia. Z 7 rycinami. Kraków 1894. Str. 120. —.20.

Stewczyk Fr. Dr. Handlowa działalność Kółek rolniczych w Galicji. (Przedruk z »Ekonomisty Polskiego«) Lwów 1894. Str. 75. —.80.

Sto lat temu i dzisiaj. W setną rocznicę powstania w Warszawie 17 kwietnia 1794 pod dowództwem szewca Jana Kilińskiego. Str. 26. —.10.

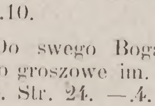
Świda B. K. Odrodzenie Szląska. Sylwetka pracy narodowej na Szląsku Cieszyńskim oraz programu na przyszłość, ze szczególnem uwzględnieniem »Macierzy szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego«. Dochód przeznaczony na rzecz gimnazjum polskiego w Cieszynie. Cieszyn 1894. Str. 78. —.30.

Tatarowicz Zdzisław. Czy cukrownictwo ma rację bytu w Galicji? (Odbitka z Ekonomisty). Str. 19. Lwów 1894. —.50.

Zyjączkowski Dr. Wład, C. k. szkoła politechniczna we Lwowie. Rys historyczny jej założenia i rozwoju, tudzież stan jej obecny (z czterema rycinami). Lwów 1894. Str. 169. 1.20.

Z dzisiejszej doby X. Po manifestacji 17 kwietnia. Lwów 1894. Str. 35. —.10.

Zych Maurycy. Do swego Boga. — II. Gryf. — Do swoich. — Wydawnictwo groszowe im. Tad. Kościuszki. Książeczka III. Kraków 1894. Str. 24. —.4.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.